



# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



Jazda na słoniu w Indjach.

Władysław Ulmiński.

## HISTORIA ŚRODKÓW KOMUNIKACYI.

### II.

#### Wozy dawniej i dzisiaj.

Pierwotne przenoszenie się ludzi z miejsca na miejsce odbywało się w sposób najprostszy i najnaturalniejszy, przez *chodzenie* „per pedes Apostolorum,” jak mówią i środek ten dędzie w użyciu, póki ludzie istnieć będą, nawet gdyby się nauczyli latać, jak ptaki. Wędrowali więc ludzie pierwotni piechotą, dźwigając na sobie dzieci, nie umiejące chodzić, i potrzebne narzędzia.

Ale nadszedł czas, gdy przekona-

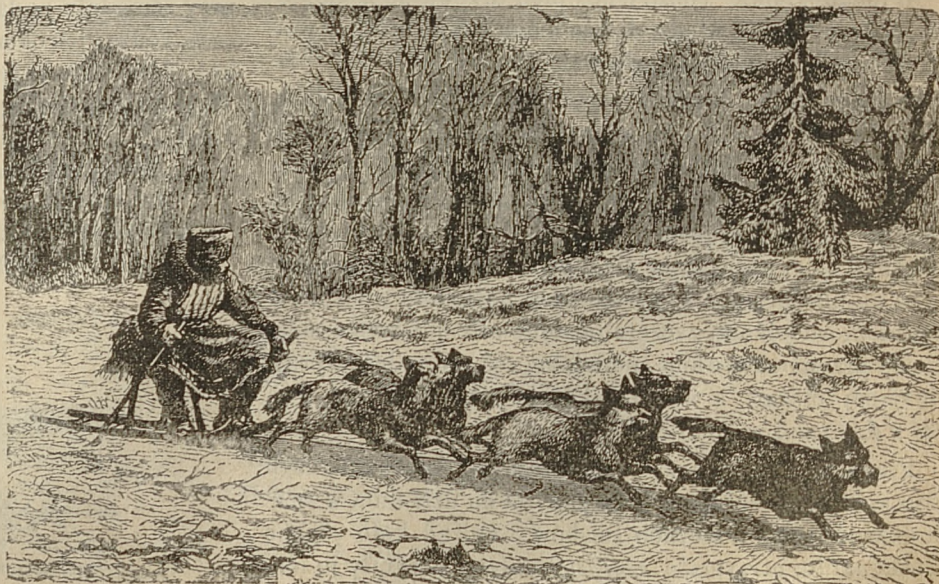
no się, że do dalszych wędrówek własne nogi są zbyt powolne, że ten sposób komunikacyi jest za mało szybki, a przytem nader utrudzający, zwłaszcza, gdy bywa połączony z dźwiganiem ciężarów.

Użyto więc do pomocy zwierząt, wsiadano na nie i ładowano im na grzbiety rozmaite przedmioty. Był to już znakomity postęp, szczególnie ze względu na pośpiech i oszczędzenie trudu. Ten sposób przenoszenia się z miejsca na miejsce przetrwał aż do dni dzisiejszych; tam, gdzie dotychczas nie można było jeszcze urządzić dróg stałych, naprzykład na pustyni, po których, jak przed wiekami kroczą *karawany* wielbłądów, oraz w wojsku (kawalerya), na polowaniach i t. p., gdzie chodzi o szybki ruch na niewielkich stosunkowo przestrzeniach.

Ale oswojenie i włożenie do jazdy szlachetnego konia, cierpliwego osła, silnego bawołu, ogromnego słonia, ociążałego i nawykłego do górskich dróg yaka, spożytkowanie szybkoconiegogo i wytrwałego wielbłąda, słusznie nazywanego okrętem pustyni, — wszystkie te czyny choć zaważyły niezmiernie w historii rozwoju środków komunikacyjnych, lecz nie mogły ich wydzwignąć ze stanu pierwotnego.

Istotnym — niezmiernie doniosłym był dopiero *wynalazek koła*.

Kiedy i kto go dokonał, tego niktby napewno powiedzieć nie potrafił



Sanki zaprzężone w psy północne.

**W dodatku konkurs na kaligrafię.**



według wszelkiego prawdopodobieństwa nie zjawił się on odrazu. Najpierw to zauważono, że zwierzę może znacznie łatwiej ciągnąć po ziemi ciężar, aniżeli dźwigać go na barkach; kładziono go więc na płozach, z początku prostych, zaledwie z gruba ogładzonych, które koniec końców przeobraziły się w *sanie*.

Mylnie byłoby sądzić, że te ostatnie wymyślono na północy, w krainach gdzie śnieg leży przez większą część roku; są one w użyciu zarówno w gorącej Afryce, jak pod biegunem, tylko że w polarnych strefach stały się one wyłącznym środkiem komunikacyjnym; zresztą w takiej Syberii np. wóz oddawałby znacznie mniejsze usługi, zimą koła grzęzłyby bowiem w śniegu, latem zaś w błocie.

Bądź co bądź sanie należy uważać za najprostszą formę wozu.

Eskimosi, Jakuci, Czucze, Samojedzi i inne narody północy, doprowadziły je do wysokiego stopnia doskonałości, ich lekkie saneczki, sporządzane z drzewa lub kości, z płozami skórzanymi, ślizgają się z niezmierną łatwością po stwardniałym od mrozu śniegu i ciągnięte przez psy, stają się nieocenionym środkiem podróży. Samojedzi przebiegają na nich w jednym dniu po sto i więcej kilometrów.

Jakuci jeżdżą saniami, do których zaprzęgają nawpół dzikie renifery; dzielne te zwierzęta bez wytchnienia pędzą po kilka godzin, ciągnąc sanie po najgorszej nawet drodze. Ci, co podróżowali w ten sposób, zapewniają, że koń nigdy by nie dokonał tego, co ren żywiony wydobyty z pod śniegu mchem.

Typ sań jest prawie wszędzie jednakowy i nie wielkim podległ przeobrażeniom, różni się tylko wielkością i ozdobniejszym wykończeniem. Płozy zwykle zaopatrują w żelazne okucia, aby lepiej rznąły śnieg, nie zataczając się na strony. Dawniej u ludzi bogatych nadawano często saniem kształty labędzia i kosztownie przyozdabiano. Do szybkiej jazdy po miastach używają czasem maleńkich sań ze stali, z którymi rączy rumak sunie jak błyskawica.

Ale przejdźmy do wozów właściwych.

Wlokąc wielkie ciężary np. pień drzewa po ziemi, ludzie z doświadczenia wiedzieli, że mogą sobie ulżyć w pracy, podkładając poden okrągłe walce.

Wtedy ciężar toczy się na nich, jakby na kołach. Z początku takie walce nie stanowiły jednej nieodłącznej całości od ciężaru, jakto zresztą zdarza się nam widzieć i dzisiaj, kiedy np. idzie o spuszczenie na wodę świeżo zbudowanego statku; z czasem jednak skrócono je i zaopatrzono w grube osie, obracające się w wyżłobieniach, przymocowanych do platformy. Pierwsze koło posiadało więc *osie ruchomą*, dopiero później zaczęto postępować odwrotnie, mianowicie przymocowywano oddzielną osie do płaszczyzny, dźwigającej ciężar, a na obu końcach umieszczano dwa *krążki* z dziurami w pośrodku.

Pierwsze koła są przeto zwyczajnymi krążkami, czyli bardzo krótkimi walcami, widzimy je do dziś dnia w wózkach dziecińczych i w wozach Basków. Odtąd koło szybko się doskonaliło; otrzymało *szprychy*, które uczyniły je lekkim, *obręcz*, nadającą mu trwałość i *piastę*, t. j. środkową, wydrążoną część koła, w którą wpuszczone są szprychy.

Szprychy i obręcze w ostatnich czasach udoskonalono

niezmiernie, pierwsze robią dla lżejszych wchikułów ze stali, a drugie zamiast okuć żelazem, otaczają obręczą gumową, nieraz nadymaną we wnętrzu powietrzem, co znakomicie zmniejsza trzęsienie i usuwa nieprzyjemny, zwłaszcza na bruku turkot kół.

Niemniej ciekawym przeobrażeniem podlegał i sam wóz.

Przez długie, bardzo długie czasy ludzie sami woleli jeździć wierzchem, a wozy zastosowywano głównie do przewożenia ciężarów, to też niedbano bardzo o ich wygodę i lekkość. Wozów do jazdy używano w niezwykłych zdarzeniach, jak tryumfalne wjazdy monarchów lub wodzów, wyścigi w cyrkach, albo w gorących strefach, gdzie podróż wierzchem wydawała się zbyt męczącą zniewieściałym władcom lub satrapom. Wozy te odznaczały się swą okazałością.

Z czasem zaczęto budować wielkie furgony, jakby arki kryte płótnem, do przewożenia rodzin i sprzętów przy większych i dalszych wędrówkach, ciągnęły one za lufcami mężów i służyły razem za namioty lub chatki ruchome. Używają podobnych do dziś dnia jeszcze w głębiach Australii i Afryki południowej.

Z nastaniem czasów nowożytnych rozwinął się właściwy wyrób powozów, z uwzględnianiem lekkości, mocy i wygody. Do wygody przyczyniło się niezmiernie—urządzenie pudła i wynalazek *ressoru*, czyli sprężyny, utrzymującej pudło powozu w zawieszeniu nad głównym wiązaniem osi z kołami.

Ressory zupełnie prawie usuwają trzęsienie, tak męczące przy dłuższej jeździe. U nas oprócz prostych wozów istniały kolasy i kolebki, którymi jednak do XVI wieku jeździli znamienitsze białogłowy lub starsi panowie; mężczyźni, nawet duchowni zawsze w podróżach dosiadali rumaków. Od czasów piastowskich znane już były tak zwane skarbniki, czyli wozy skarbane z przykryciem do przewożenia żywności, broni i t. p.. Miasta obowiązane były dostarczać wozów na wojnę w razie pospolitego ruszenia. Oprócz wojennych były inne „skarbniki” ze skrzyniami zamczystemi i pokryciem, służące do przewożenia pieniędzy przy ściąganiu podatków. Stąd powstał z czasem *skarbniczek*, rodzaj parokonnej bryczki, którą ziemianie jeździli do kościoła. Nie były bardzo wygodne i śnać trzęsły, skoro Węgierski w drugiej połowie XVIII wieku pisze, iż woli żona:

Aby ją na sprężynach giętkich zawieszoną  
Po balach, po assamblach karetą woziła,  
Niż gdyby do kościoła skarbnikiem jeździła.

(Por. Słownika rzeczy staroż. Z. Glogera.)

(d. n.)



Karawana.



Zofia Urbanowska.

## ROŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

— Pogląd ma jasny, sąd zdrowy, stoi też niezaprzeczenie wyżej od naszego chłopca. Ztąd wynika, że taki naprzykład prosty góral jak Wojciech Roj, był serdecznym przyjacielem doktora Chałubińskiego, człowieka wielkiego rozumu i olbrzymiej wiedzy.

— Roj, dziwne nazwisko. Czytałam niegdyś powieść Walter Skota, pod tytułem: *Rob Roy*.

— Nazwiska góralskie istotnie dają wiele do myślenia — odrzekł Jakób.

— Babuniu! — odezwała się dziewczynka — czy babunia wie jak się nazywa nasz gazda?

— Wiem, Slimak.

— A żona jego nazywa się z domu Gąsienica. Slimak i gąsienica, jakie to zabawne! Prawda babuniu?

— Ta trzpiotka miała czas już wszystkiego się dowiedzieć — zauważyła panna Katarzyna, a uśmiech słoneczny twarz jej rozjaśnił. — Co za dziwaczne nazwiska! Zoologia tu widzę kwitnie. Kubusiowi, jako przyrodnikowi, pewnie się podobają.

— I pani będą się podobały, gdy powiem że należą do najwyższej arystokracji góralskiej, jeżeli pod tem mianem rozumieć będziemy dawność rodów. Gąsienicom przywileje posiadania polan w Zakopanem, nadał jeszcze król Stefan Batory.

— Któż widział te dokumenty?

— Znajdują się one we Lwowie, w aktach grodzkich. Równie wspomiane tam są Topory, Jarząbkowie, Kalatowie: trzeba więc mieć respekt dla nazwisk góralskich. Jest w Zakopanem miejscowość należąca do rodziny Chramców i nosząca nazwę „Chramcówki.” Wskazówka to, że niegdyś tam stał pogański chrám, i że ten ród góralski z kapłanów się wywodzi, choć nie posiada udowadniających swą starożytność dyplomów.

— To jeszcze nie koniec, babuniu — mówiła Marysia — u Slimaka i Gąsienicy służy za pasterza Król, zupełnie jak w bajce zakłętej.

— Co też ta mała wygaduje!

— Ależ tak, babuniu, doprawdy! A wie babunia jak się nazywa góralka, którą gaździna nam naraiła do służby?

— Mów, ty trzpiocie, bo ja wcale nie jestem domyślna. Jagusia!

— Jagusia Papież! Mieszkamy pod jednym dachem z Królem i Papieżem. Czy babunia spodziewała się tego w Miratyczach?

— I przed przybyciem tutaj znajdowaliśmy się w tatarskiej mocy, bo nas przywiózł Tatar — dodał Henryk.

Doktor i panna Katarzyna spojrzawszy na siebie, rozśmiali się jednocześnie, a starszka patrząc na rozweseloną twarzyczkę dziewczynki, powiedziała:

— Możeby nam tu i nieźle było, gdyby nie ta mgła.

— A wie babunia, jak Papież tę mgłę nazywa?

— Znowu koncept!

— Szmatą, babuniu! Dziś opowiadała Jagusia, jak jej matki krowę „smata zawinęła i prasnęła dołu na skole.”

— Mój ty dzieciaczku, tak już po góralsku szczebioczesz, że nic nie rozumiesz.

— Babuniu — tłumaczył Henryk — Marysia mówi,

że krowa dostała się we mgłę, jak w szmatę, czyli chustę, i że ją szmata zrzuciła na kamienie.

— A to malowniczy język! Co stało się dalej?

— Bigos, babuniu! — wołała, skacząc filutka — tylko że go nikt nie jadł, bo „krowę prasło łośńskiej jesieni, a lato-siej wiosny juhasy naśli jej kości.”

— Aj ty figlarko! widzę, że listy do dziadunia gotowaś pisywać po góralsku. Ale bo też tu jesteśmy, jakby na innym świecie — dodała, zwracając się do doktora — jak pod dzwonem ze szkła matowego. Dziś z rana wstaję, patrzę w okno: nic nie widać. Myślę sobie, jak też to długo będzie tej niepogody? i idę zobaczyć, co robi mój kapucyn.

— Kapucyn?

— Ja mam takiego kapucyna, wie Kubuś, co mi zawsze przepowiada pogodę i nigdy się nie myli. Przywiózł mi go z Warszawy pan sędzia. Ten kapucyn, proszę Kubusia, jak pogoda, wychodzi z kapliczki aż do krzyża; a gdy się na deszcz zanosi, naciąga kaptur na głowę i do kapliczki wraca. Wzięłam go tu z sobą, bo takem się do niego przyzwyczaiła, że bez kapucyna ani rusz! Pierwsza rzecz jak wstanę, patrzę, co kapucyn robi. I nawet w Miratyczach brat z robotami w gospodarstwie na niego się oglądał, choć miał swój barometr. Otóż niech Kubuś sobie wyobrazi, kapucyn dziś kaptur aż do kolan sobie ściągnął. Podaj no go, Marysiu, niech pan sam zobaczy.

Jakób parsknął śmiechem na widok tekturowej figurki, którą dziewczynka przed nim postawiła.

— Księżyzna widocznie nie był przygotowany na taką wilgotność powietrza, jaką tu zastał — mówił, przypatrując mu się — więc włożywszy kaptur na głowę, z wielkiego zdziwienia coraz niżej go sobie ściągał. Pani zapewne wie, na czem ten figiel polega.

— Tłumaczono mi, że jest tam struna, która się pod wpływem wilgoci rozkręca, a skręca pod wpływem suszy w powietrzu — odrzekła. — Ale Henryś to ma prawdziwy barometr i też narzeka, że mu się w drodze popsuł. Niech Kubuś sobie wyobrazi, że wskazówka opadła niżej niż „susza” stoi; a szkoda, bo to kosztowało kilka rubli i chłopiec się tak cieszył, że będzie mógł obserwować na nim zmiany powietrza i zapisywać swoje spostrzeżenia, bo podobno wszyscy wielcy podróżnicy tak robią.

— Chciałbym widzieć ten barometr — powiedział Jakób.

— Henryczku — rzekła, zwracając się do chłopca panna Katarzyna — pan Jakób zna się na barometrach, przynieś no swój.

— Ach panie! — mówił Henryk — taki śliczny, no wiuutki przyrząd! dostałem go od dziadka.

Był to średniej wielkości aneroid. Pan Jakób obejrzał go starannie i rzekł:

— Aneroid ten nie jest wcale zepsuty: Henryś przekona się o tem, gdy państwo powrócicie na równiny. Tam wskazówka jego wróci do dawnego zwyczaju.

— Nie rozumiem, Kubusiu. Jakże coś może być dobrem w Miratyczach, a złem w Zakopanem, jeżeli się nie zepsuło! — rzekła panna Katarzyna, wzruszając ramionami.

— Bo podziałka tego aneroidu, nie jest zastosowana do górskiego ciśnienia powietrza. Wskazówka opadła tak nisko, że aż przeszła granicę deszczów i suszy na równinach. Zdarzył się tu ten sam wypadek co z kapucynem, nie przygotowanym wcale na nadmiar wilgoci w górach, która rozkręcając zanadto strunę na jakiej go uwiązano, jest powodem, że ściąga swój kaptur aż do kolan.

— Więc to wilgoć jest powodem zmian w barometrach? A pan mówił, że ciśnienie!

— Jedno i drugie. Powietrze suche i spokojne wywiera większe ciśnienie niż wilgotne i wietrzne. Dla tego zwykle barometr wznosi się na pogodę, a opada na deszcz i burzę.





Jazda na osiach. Przewodnicy Egipscy.

— A jak mam rozumieć obecnie ruchy mego aneroidu — pytał Henryk — kiedy on już wcale stanu pogody nie pokazuje, choć o ile zauważyłem, skazówka także zmienia położenie?

— Znaczy to tylko, że barometr twój przygotowany dla równin, dobrym jest w tych miejscowościach, gdzie ciśnienie powietrza waha się między 700 a 790 milimetrami; a dla miejscowości wysoko położonych jak np. Zakopane, gdzie to ciśnienie tylko od 660 do 697 milimetrów wynosi, trzeba zrobić aneroid z odpowiednią podziałką i napisami. Podróżnicy też zwykle używają odpowiednio urządzonych barometrów rtęciowych, które służyć mogą dla każdej miejscowości, a nawet używane bywają do mierzenia wysokości gór z tej przyczyny, iż prawie na każde 10 $\frac{1}{2}$  metrów wzniesienia, rtęć w barometrze opada na 1 milimetr.

— Szkoda, że o tem nie wiedziałem — rzekł chłopiec — byłbym prosił dziadzię o kupienie mi prawdziwego podróżniczego barometru, zamiast tego który mi się tutaj na nic nie przyda.

— Barometr taki, mój chłopcze, jest narzędziem kosztownem, a i obchodzenie się z nim nie jest tak łatwem; jak ci się zdaje; wymaga dużo wiadomości i nauki, których ty jeszcze posiadać nie możesz, z barometru więc takiego nie umiałbyś korzystać.

— Czy deszcze tutaj długo trwają? — zapytał chłopiec.

— Rozmaicie: kilka godzin, kilka dni, albo dwa i trzy tygodnie.

— A to piękna pociecha! — zawołała z przestraczeniem panna Katarzyna.

— Nie pociecha, babuniu, tylko „psota.” Jagusia mówi, że tak górale deszcz nazywają — wtrąciła znów Marysia, dumna ze swych wiadomości.

— A w tej mgle czy długo uwieczni będziemy?

Doktor popatrzył uważnie w okno.

— Tego nie wiem na pewno, ale zdaje mi się, że już niedługo. Niech pani zdobędzie się na trochę jeszcze cierpliwości.

— Przewiduję, że będę jej wiele potrzebowała — odrzekła z westchnieniem. — Czy wie Kubaś, że nie mam naj-

mniejszego pojęcia o tem w jakim ten dom stoi otoczeniu. Ksiądz proboszcz pisał do znajomego tu księdza, żeby wynajął mieszkanie dla nas pod lasem. i żeby był widok na góry; domyślałam się jednak, że ani jednego ani drugiego stąd nie widać! Ale się jakoś wyjaśnia, czy uważacie?

— Zdaje się, że będziemy mieli pogodę! — zawołał Henryk.

Dziwne zaszło zjawisko. Dzwon z matowego szkła, jak trafnie się wyraziła panna Katarzyna, nagle tak się rozjaśnił, jakby na niego z góry padły promienie światła. I widać czarodziejska to była lampa, bo cudowne pod jej wpływem działały się rzeczy. Ściany dzwonu rozszerzyły się, a cienie płotu i czterech drzew stały się rzeczywistością. Wyłoniła się ze mgły łączka z bujnie rosnącym na niej rdestem, storczykami i podbiałem, a za nią zielony owies gęsto przetykany czerwonym kwieciem mieczyków.

Ściany dzwonu rozszerzały się coraz bardziej, a łączka rosła coraz więcej, więcej i więcej. Na łące, jak w bajce, ukazało się kilka chat rozrzuconych malowniczo i strumień pędem biegnący po kamieniach, a potem ciemne drzewa lasu.

Wszyscy cisnęli się do okna, patrząc ze wzrastającym podziwem, a doktor miał na twarzy wyraz blizkiego a pewnego tryumfu.

— Chwała Bogu, że mamy widok na las — odezwała się panna Katarzyna — ale szkoda, że gór nie widać! Zapewne są w innej stronie. Lasek jakiś młody, niewielki, ale lepszy taki niż żaden.

Gdy to mówiła, ukazały się drzew wierzchołki, a ponad niemi jeszcze wzgórze lasem iglastym porośłe, a nad wzgórzami pasma gór, ciągle rosnących na wysokość, aż zakończyły się ostremi, ośnieżonemi szczytami. Niewidzialna, a potężna ręka unosiła powoli zasłonę, aż zajaśniał czysty błękit, a nad nim promienie słońca zalały cały krajobraz.

Zapanowała najpiękniejsza pogoda. Ukazał się wspaniały łuk tęczy, której jeden koniec opierał się na wzgórzach Antałówki, a drugi na Gubałówce. Podziw, zachwyt patrzących, były nieopisane. Babunia Kasia pierwsza zawołała.

— Co za cudowny kraj!

(d. c. n.)



Mieczyk.



# TESTAMENT DEIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

Czyż zastanowił się choćby na chwilę ten olbrzym, jak wielce życzliwym okazał mu się los, stawiając go w liczbie „sześciu”? Czyż miał pojęcie dla czego właściwie w dzień pogrzebu milionera szedł przy trumnie jego, budząc oklaski tłumu?...

Jeżeli wszakże on sam nie zdolny był wytworzyć sobie o tem jasnego zdania, za to John Milner, który nim kierował, zrozumiał aż nadto dobrze, jakie korzyści może mu przynieść owo niespodziewane zdarzenie, i nie miał też najmniejszego zamiaru lekceważyć tego. Owszem, na wszystko był gotów się zgodzić za cenę tak ponętną. Milner też jedynie mógł udzielić reporterom żądanych objaśnień, a udzielał im tem chętniej, że obliczył odrazu, jaką reklamą będzie dla następnych walk siłacza wzmiankowany artykuł, który powtórzy niewątpliwie cała prasa miejska.

Reporterzy więc „Freie Presse” dowiedzieli się, że Tom Crabbe waży pięćset czterdzieści trzy funty przed jedzeniem, po spożyciu zaś posiłku ciężar jego wzrasta do pięciuset pięćdziesięciu funtów; zanotowali też najdokładniej znane nam już wymiary ciała jego i stwierdzili sami na dynamometrze, że potęga jego ramion równa się siedmdziesięciu pięciu kilogramom, to znaczy sile jednego konia parowego, a najwyższe napięcie w szczękach dochodzi do dwustu trzydziestu trzech kilogramów.

Co się tyczy wieku, Tom Crabbe przeżył do dnia tego: trzydzieści dwa lat, sześć miesięcy i siednaście dni. Ojcem jego był robotnik z bydłobójni firmy Armor, a matką, sławna w wędrownych cyrkach siłaczka.

Objaśnienia te wystarczyły już w zupełności panom reporterom do złożenia zamierzonego artykułu, bo i cóż nad to interesującego możnaby powiedzieć o człowieku, jak Tom Crabbe?...

Przed odejściem wszakże jeden z nich rzucił Milnerowi jeszcze pytanie:

— Powiedz mi pan, z łaski swojej, czy ten osobliwy okaz nigdy nie mówi?...

— Jak najmniej, bo i po cóż ma napróżno trudzić swój język...

— Ale myśli przecież?

— I to mu niepotrzebne.

— Może masz słuszność...

— O, najzupełniejszą!.. Jak widzicie panowie cały Tom Crabbe jest, że się tak wyrażę, pięścią tylko, ale pięścią nielada, czy to w zaczepnem czy odpornem działaniu..

— Ot, zwierzę, nic więcej — mruknął jeden z dziennikarzy, gdy już znaleźli się obaj na ulicy.

— Dodaj pan jeszcze: „zwierzę niższego rzędu” — rzekł drugi ze złośliwym uśmiechem — zwierzę, któremu jakby wypadkiem tylko dostały się bezmierne kształty ciała ludzkiego, bo o duszy bodaj niema co mówić.

Z cyklu obrazów „Ojciec nasz.” Józefa Krzesza.



„Ale nas zbaw ode złego. Amen.” (str. 64).

Domysleć się łatwo, że nie o John Milnerze wypowiedziano ten sąd tak ostry, krańcowy, a jednak nieledwie słuszny.

Kierując się w stronę północno-zachodnią miasta Chicago, po przebyciu bulwaru Humbolta, dochodzi się do dwudziestej siódmej dzielnicy, gdzie gorączkowy ruch pierwszorzędnych ulic, ustępuje miejsca wiejskiej prawie ciszy

Lecz nie idzie zatem, aby to było już jakieś pustkowie. Bynajmniej. Ulice tej dzielnicy szerokie i widne, liczą nie mało kilkonasto piętrowych gmachów, zamieszkałych przez setki osób. Są to wszakże po największej części ludzie zajęci dnie całe po biurach bankach i rozlicznych zakładach, ludzie inteligentni ale ciężkiej pracy, którzy szukając tu odpowiednich dla swych dochodów cen lokalu, nie mają czasu ani możliwości spacerować po trotuarach lub jeździć powozami.

W jednym z takich właśnie kilkonasto-piętrowych domów, przy ulicy Sheridan pod N. 19-ym, zajmuje dwa pokoje na dziedziem piętrze Hel. Nałęczówna.

Zastać wszakże można ją tu dopiero wieczorem, po zamknięciu magazynu głośniejszej firmy mód i nowości „Marschall et C-ie Field,” gdzie od lat paru czynną jest przy kasie.

Jedyna córka zacnych rodziców, których burze społeczne zagnały aż w tak odległe od rodzinnego kraju strony, jest Helena obecnie sierotą, nie mającą nikogo z bliższych sobie.

Na domiar nieszczęścia, resztki znacznego niegdyś majątku, stracił pan Nałęcz już po osiedleniu się w Chicago, w jakimś przedsiębiorstwie, do którego go zręczny oszust, jako współnika namówił, i gdy go Bóg powołał do siebie, nie miał nawet tej pociechy, by widział los dwóch istot najdroższych mu na świecie, los żony i córki jako tako zapewniony.



Ale młodziuchna jeszcze wówczas Helena, otrzymała od rodziców cenniejsze od największych bogactw dary.

Matka jej, kobieta wielkich cnót i rozumu, umiała zbudzić w duszy swej jedynaczki niezłomny hart woli. obok chrześcijańskiej miłości bliźniego i uległości wyrokom Boga, gdy znów staraniem ojca było z bogactw jej wyśmienić ją na wyższym wykształceniu, jakiego postępowo Ameryka nie odmawia kobiecie.

Z takim zasobem sił umysłu i ducha nie ulękła się młoda panna Nałęczówna trudu i pracy, jakie ją czekały — Owszem, ze spokojem i odwagą patrzyła w przyszłość, znajdując jeszcze słowa pociechy i uspokojenia dla swej zbolalej matki.

— Niech się mateczka nie frasuje, nie trapi naszą przyszłością — mawiała, okrywając jej ręce pocałunkami — abym tylko z pomocą Bożą i życzliwych ludzi dostała posiadłość, już nam bieda nie dokuczy... Wszakże nauczyłyśmy się potrzebować tak mało!..

I rzeczywiście, gdy dzięki pośrednictwu kilku przyjaciół, Helena objęła zajmowane do obecnej chwili stanowisko w handlowym domu Marschal Field — miesięczna jej pensja wystarczała obydwom na utrzymanie skromne, a prawda, lecz dostateczne.

Aż oto spadł na dziewczę cios nowy — okrutny. Ukończona jej matka nagle zakończyła życie.

Choroba serca, wywołana przebytemi moralnymi cierpieniami i ofiarami, stała się przyczyną tak wczesnego jej zgonu.

Ale i to straszne doświadczenie Boże nie złamało ducha młodej sieroty i gdy pierwsze dni ciężkiej żałoby minęły, wróciła do przerwanej pracy, w której znajdowała niejaki uciwienie serdecznego bólu, obok konieczności wystarczania samej sobie.

Od tego czasu upłynęło lat parę.

Niezmiernie sympatyczna w obejściu, z wielką szlachetnością i powagą w ruchach, była Helena, kończąca właśnie lat dwadzieścia pięć, panną bardzo przystojną. Twarz jej o rysach regularnych i delikatnej cerze blondynki ożywiały piękne szafirowe oczy z wejrzeniem rozzummem i głębokim, a gdy uśmiech rozchyłał ładne jej usta, jaśniały jak perełki zdrowe zęby.

Uprzejma dla wszystkich, wolna od zazdrości i wygórowanych ambicji, była przez wszystkich, którzy ją znali lubianą i szanowaną. Ale przyjaźń szczerą i wyprobowaną łączyła ją z Jowitą Foley, młodą Amerykanką, towarzyszką pracy, która długi czas nie szczędziła zabiegów, by zyskać jej zaufanie.

Były to pozornie dwa przeciwieństwa. O ile Helene cechował spokój i powaga, o tyle Jowita okazywała się żywą, ruchliwą i poddającą się łatwo wrażeniom, a bystrość, śmiałość i dowcip widniały na jej twarzy, nie tyle ładnej ile wielce interesującej. Grunt jednak charakteru był jednaki. Dla jednej i dla drugiej prawość zasad i czynów stały zawsze jako pierwszy obowiązek, od którego nic ich odwieść nie było w stanie.

Jednakie zajęcie, a jeszcze więcej takąż sam dola sieroca, zbliżyła ich ku sobie, a węzeł przyjaźni zacieśniał się coraz więcej odkąd zajęły razem skromne mieszkanie przy ulicy Sheridan.

W swem cichem, pracowitem życiu, przy potrzebach bardzo skromnych, zadowolona z tego co jej zajęcie dawało, nie zaprzętała sobie główki Helena Nałęcz, jak to czyniły inne panie w jej wieku, próżnymi marzeniami o jakichś niedoścignionych świetnościach. Nawet otrzymane wezwanie, aby jako jedna z „szczęściu” stawiała się na ceremonię pogrzebu, mimo łączącej się z tem nadziei świetnego spadku, zamiast radości przykrość jej tylko sprawiło.

Owe wystawienie się na pierwszy plan, jako przedmiot ciekawości zebranych tłumów, był jej naturze tak bardzo przeciwny, że bez długiego namysłu zdecydowaną była raczej wszystkiego rzec się odrazu.

Nie zezwoliła wszakże na to praktyczniejsza od niej Jowita, która użyła całego swego wpływu, aby przekonać

przyjaciółkę, że nie należy lekkomyślnie odrzucać łaski fortuny.

Więc choć z przykrością wielką, z silnymi rumieńcami na delikatnej twarzyczce, zawstydzona i onieśmieszona szła ostatecznie Helena obok wozu pogrzebowego. W żaden już jednakże sposób nie dała się namówić na „interview” z kronikarzami „Chicago Herald,” którzy pospieszyli jeszcze tego wieczoru na ulicę Sheridan Nr. 19. Na odgłos dzwonka Jowita, otworzywszy im drzwi mieszkania, pobiegła do Heleny, przedstawiając konieczność przyjęcia dziennikarzy.

— Za nic w świecie — odpowiedziała jej stanowczym głosem młoda Polka — dość już mam tych badawczych spojrzeń, na jakie byłam narażoną w ciągu dnia całego... Teraz przychodzą reporterzy, za nimi może zjawia się fotografowie, a wreszcie, kto wie, cały tłum ciekawej publiczności pocznę się tu cisnąć!... Wierzaj mi, najlepiej odrazu zamknąć drzwi przed tymi natrętami...

Nie było rady. Wysłańcy „Chicago Herald” powrócili do swej redakcji bez żadnych notatek, dotyczących młodej kobiety, a w braku tychże czytelnicy pisma pozabawieni też zostali oczekiwanego artykułu, mającego ich zapoznać z interesującą cudzoziemką, wybraną losiem do liczby „szczęściu.”

— Życzeniu twemu stało się zadość — mówiła ze zwykłą sobie żywością Jowita po grzecznem odprawieniu przybyłych — ale czy myślisz, że wraz z tem zapomną o tobie wszyscy. Należąc do „szczęściu,” na których obecnie uwaga całego miasta jest zwróconą, trudno a nawet niepodobna ci będzie ukryć się przed ciekawością wspólną wszystkim ludziom... Ach, Helu, gdybym ja na twojem miejscu była!... Ale pamiętaj, że będąc cię umiała zmusić do spełnienia wszystkich warunków testamentu... Pomyśl, co za los świetny otrzymała część olbrzymiej sukcesji!..

— Ciągłe powracasz do tej sukcesji, a ja w nią zupełnie nie wierzę. Nawet nie dziwiłabym się wcale, gdyby to wszystko okazało się tylko kaprysem zmarłego dziwaka, lub jakąś mistyfikacją z jego strony. I nie żałowałabym ani chwili!..

— Jaktó, nie żałowałabyś, Helu — zawołała Amerykanka, obejmując uściskiem swą przyjaciółkę i nie pozwalając dokończyć zdania — nie żałowałabyś? Ależ zastanów się, taki majątek!..

— A czy bez niego źle nam było?..

— Nie powiem, żeby źle, ale jednak... O, gdybym ja była tobą!..

— Więc cóż, gdybyś była na mojem miejscu?..

— Co? Wiele, wiele słodkich rzeczy mam na myśli! Ale przede wszystkim dałabym ci połowę, droga Helu.

— Więc snuj dalej swoje marzenia, bo i ja również tę połowę ci ofiaruję — odpowiedziała Polka śmiejąc się z czynionych sobie wzajemnie w ten sposób darów, i zapalu, jakiemu opanować się dała jej przyjaciółka!..

— O Boże, jakżebym chciała, żeby zaraz jutro był ten piętnasty kwietna! — zawołała znów po chwili Jowita. — Takie długie, męczące oczekiwanie!... Będę liczyła godziny i minuty!..

— Zlituj się, daruj mi już choćby sekundy — rzekła Helena wesoło, bo doprawdy byłoby ich zbyt wiele!..

— Ty sobie tylko żartujesz, a to przecie nie drobnotka, tu idzie o miliony dolarów!..

— Powiedz raczej miliony przykrości podobnych tym, jakie przeszedłem już dzisiaj, i o których najchętniejbym zapomniała, gdyby można było.

— Jakże trudną jesteś do zadowolenia! Cóż znaczy te trochę przykrości!..

— Nie trochę, ale dużo, bardzo dużo!.. To też z niepokojem pytam się, kiedy i jak się to skończy?..

— Skończy się, skończy, bądź pewna! wszystko ma swój koniec na tym świecie!..

Takimi byli w ogólnych zarysach owych „szczęściu,” których William I Hypperbone przywołał na swój pogrzeb,



a którzy, nikt o tem nie wątpił, podziela się olbrzymią jego fortuną, nie dalej jak za dwa tygodnie. A chociaż ten przeciąg czasu przedstawiał się nie jednemu z nich długim, jak wieczność, przecież dzień za dniem upływał, aż nadszedł upragniony 15-ty kwietnia.

Rankiem dnia tego dopełniono przedewszystkiem warunku zastrzeżonego ostatnim paragrafem woli zmarłego i w obecności prezesa Higginbotham oraz reagenta Tornbrocka, każdy z „wybranych” zawsze w oznaczonej losowaniem kolei, złożył swą kartę wizytową na trumnice Williama I. Hypperbone'a, poczem sarkofag zamknęła ciężka płyta marmurowa.

Milioniar dziwak przyjął ostatnią już wizytę w swym wspaniałym mauzoleum na cmentarzu Oakswoods.

### Testament.

Długą jest lista rozlicznych hoteli, jakie miasto Chicago posiada, i podróżni wystawieni są tu raczej na trudność wyboru, niż na brak pożądanego, a odpowiedniego dla siebie miejsca czasowego wypoczynku.

W każdym też z tych budynków znaleźć można zawsze czy to pokoje skromniejsze z urządzeniem tak zwanem europejskiem w cenie dwóch i trzech dolarów \*) za dobę, czy też apartamenta, do jakich przywykła milionowa Ameryka.

Ze wszystkich wszakże pierwszorzędných hoteli, z których najwięcej znane: „Polmer Haus,” „Wellington,” „Saratoga” i t. d... hotel „Auditoryum” zasługuje na szczególne wyróżnienie, zarówno wielką liczbą pokoi wytworknych i skromniejszych, jako też wzorowym porządkiem i doskonałą usługą. Nadto i to jeszcze nadaje mu wielką odrębność, pośrodku zabudowań jego znajduje się oddzielny gmach teatru, dość obszerny, by mógł wygodnie pomieścić do ośmiu tysięcy widzów.

Gdy więc przypomniemy sobie, że w Auditoryum właśnie, według woli Wiliama I. Hyperbone, miał być odczytany testament jego, nie zadziwi nas wcale ów tłum ludzi cisnący się dnia 15-ego kwietnia na dwudziestą dziewięć dzielnicę miasta przy zbiegu Congres Str i alei Michigan, których narożnik tworzy ten dziesięcio piętrowy budynek, z wieżą na trzysta stóp wysoką.

(d. c. n.)

### Do Skowronka.

Już ty śpiewasz, o ptaszyno,  
Choć w okolo wieje chłód;  
Z gór potoki z szumem płyną,  
Rzekę nocą ścina lód.

Już twa pieśń do pracy wzywa,  
Choć na mętnej nieba tle  
Słońce niby senne pływa,  
Utalone w rannej mgle.

Czekaj ptaszę ciepłej pory,  
W ciche gniazdo głowę schroń,  
Aż zaściele kwiat ugory,  
Technąc ku niebu czystą woń.

Aż z niebiosów skwar gorący,  
Łono ziemi przejmie już,  
I pod stopy, wdziękiem lśniący,  
Rzuci cudny wianek róż.

Moja piosnka cicha, senna,  
Jej nie zmrozi blady szron;  
Brzmi, choć wiosna taka zmienna,  
I chłód wieje ze wszech stron.

\*) Dolar wart około 2-eh rubli.

By ją zbudzić w mojem łonie, —  
Dość pierwszego brzasku, dość,  
Niech poranny świt zapłonie,  
Pieśń jak tęskny spływa gość.

I już goni za nadzieją,  
W kraj niepewny zwodnych snów,  
I choć burze ją rozwieją,  
Wątek zwiany splata snów.

Lecz gdy słońce błysnie żarem,  
Jej uroczy milknie ton;  
O, bo lato zsyła darem,  
Ziemni życie, pieśni skon!

Seweryna Duchńska.

## Z Y W E O B R A Z Y .

Redakcja „Wieczorów” otrzymała w ostatnich czasach kilka listów z prośbą o udzielenie rad i wskazówek w urządzaniu żywych obrazów i innych podobnych zabaw zbiorowych. Ponieważ sama brałam nieraz udział w tego rodzaju rozrywkach, więc na żądanie Redakcyi z miłą chęcią pospieszam podzielić się z czytelnikami „Wieczorów” swojem doświadczeniem w tym względzie, a czynię to tem chętniej, że uważam żywe obrazy, szarady w obrazach i t. d. za lepszą rozrywkę w czasie świąt lub uroczystości domowych, niż teatru amatorskie, gdyż wymagają mniej zachodu i czasu, a rozbudzają gust estetyczny, znajomość historii i literatury oraz pomysłowość i zręczność w przygotowywaniu potrzebnych akcesoryów. Nie chodzi tu bowiem o jakieś kosztowne urządzenia, lecz o umiejętne zastosowanie przedmiotów domowych, będących — że tak powiem — pod ręką. W czem główny udział powinna brać sama młodzież, tylko w trudniejszych rzeczach radząc się i prosząc o współdziałanie starszych.

Cóż to jest *żywy obraz*? Jest to przedstawienie przez żywych ludzi obrazu namalowanego lub obmyślanego, naturalnie wśród odpowiedniego tła i w odpowiednich kostiumach. Osoby grupują się, jakby na prawdziwym obrazie i przez czas, gdy patrzą na nich widzowie, muszą pozostawać nieruchome ze stosownym wyrazem twarzy i ruchem. Widziałam kilka razy w Warszawie, w teatrze i na rautach dobroczynnych wspaniałe żywe obrazy: sceny ze „Starej Baśni” Kraszewskiego, — Szopen, grający u ks. Radziwiłła (z obrazu Siemiradzkiego) i wiele innych, które z oddali, przy efektownym oświetleniu, robiły wrażenie ogromnych obrazów, a zachwycały pięknem ugrupowaniem, malowniczością i doborem postaci. Ale zaręczam, że nieraz na wsi czy w mieście bez tych wszystkich wspaniałości urządzaliśmy na prędce wcale udatne żywe obrazy, w których rozmaitość kostiumów, perspektywę i oświetlenie z powodzeniem zastępowały nasz dowcip i wesołość ku zadowoleniu poblążliwych widzów. Najwięcej bywało kłopotów z zachowaniem powagi i nieruchomości. Raz pokłóciłam się niemal z jedną z moich kuzynek, która w najtragiczniejszych obrazach, ciągle wybuchala śmiechem. Nie mogła minuty wytrzymać bez śmiechu i chichotała nawet, jako matka Koryolana, błagająca go na klęczkach o powrót do Rzymu.

Przy urządzaniu żywego obrazu trzeba przedewszystkiem wybrać temat, zastosowany do liczby osób, no i zasobów domowych w płaszczach, szalach, prześcieradłach, kawałkach materyi, barwnych spódniczkach i t. p. Najłatwiej wybierać obrazy, których reprodukcye posiadamy, bo mamy wzór najlepszy do ugrupowania, wyrazu twarzy, dodatków, — ale niewyczerpaną kopalnią tematów jest historia, zarówno



święta, jak starożytna i nowożytna. Jeden z moich braci w tych ważnych chwilach przedwstępnych narad, proponował regularnie przedstawienie śmierci Absalona, pojęcie wielbłądów przez Rebekę, lub Daniela w lwiej klatce, przy czem łaskawie zgadzał się być jednym z wielbłądów lub lwów. Na to otrzymywał zawsze odpowiedź, że z większem powodzeniem potrafiłyby odtworzyć wierzchowca Balaama.

Można także czerpać tematy z literatury, przedstawiając niektóre sceny z bardziej znanych utworów i poematów, a choćby z powieści drukowanych w „Wieczorach,” albo wprost przedstawiać obrazy alegoryczne czy rodzajowe własnego pomysłu i układu np. cztery pory roku, Anioł stróż, pogoń za szczęściem (szczęście, jako motyl), obóz cyganów, odpoczynek po żniwach (w ubiorach ludowych swojej miejscowości) i t. d. Te ostatnie doskonale się udają na świeżem powietrzu latem przy ogniu bengalskim i ze śpiewem chóralnym.

Obrazy czerpane z literatury, można urozmaicać czytaniem lub deklamacją odpowiednich ustępów. Weźmy np. „Powrót taty.” Obraz 1-y przemowa matki do dzieci; obraz 2-gi dzieci pod krzyżem; obraz 3-ci przyjazd ojca; obraz 4-ty napad zbójców. Słowa, wypowiedziane przez osoby działające w wierszu, mogą deklamować ci, którzy je przedstawiają, a opisowe — ktoś siedzący z boku i niewidzialny dla widzów.

Żywe obrazy najlepiej przedstawiać w dużym pokoju, którego jedną połowę zajmą widzowie. Wówczas jednak, jeśli obrazów będzie kilka, trzeba by urządzić kurtynę. Kiedy widzów jest niewiele, to mogą patrzeć z drugiego pokoju przez drzwi, które zastąpią kurtynę. Dobrze jest ustawić koło obrazu coś w rodzaju ram: dwa słupy udrapowane czemkolwiek albo dwie choinki. Pamiętać także należy, że widzowie mają patrzeć z pewnego oddalenia. Patrzenie na żywy obraz może trwać bez przerwy 1—2 minuty, bo dłużej trudno zachować nieruchomość, no i... powagę, ale na żądanie bis! bis! przez łaskawą publiczność, można znowu otworzyć drzwi lub podnieść kurtynę i obraz powtórzyć. Umiejętne oświetlenie jest także rzeczą bardzo ważną. Silnie bardzo oświeca tak zwana tasiemka magnezyowa; są też bezwonne ognie bengalskie, pokojowe. Przy oświetlaniu nawet zwyczajnem za pomocą lamp i świeczników, trzeba się starać, aby źródło światła było niewidzialne dla publiczności, lecz tylko sam jego blask.

Bardzo zabawną i przyjemną odmianą żywych obrazów są tak zwane *szarady w obrazach*. Jest to rzecz niezmiernie prosta i łatwa. Każdy wyraz z szarady i jej znaczenie trzeba kolejno przedstawiać plastycznie przez odpowiednie obrazy. Obrazy te zastępują określenia w szaradach pisanych i widzowie muszą je tak samo odgadywać!

Weźmy np. „Karawana.” Najprzód przedstawimy klasę, w niej nauczyciel z miną surową, każe uczniowi klęczeć, reszta ma miny powarzone. Zaprasza się widzów i ktoś mówi głośno: *pierwsze drugie* (kara). Potem przedstawia się *pierwsze trzecie*: kilka osób popija przy stoliku

kawę, potem *drugie czwarte*: siostra miłosierdzia opatruje niby rannego człowieka, wreszcie *wszystko* — jazda beduinów w białych prześcieradłach na krzesłach; trochę piasku wyobraża pustynię Sahara.

Pomysłowość i dowcip urządzających mają tu wielkie pole do działania, a przygotowań potrzeba bardzo niewiele. Widziałam raz przedstawioną szaradę — Warszawa. *Pierwsze*: kilku niby rybaków czy robotników nad kociołkiem z wodą wrzącą, z którego bucha para. *Drugie trzecie* przedstawiono w sposób rebusowy. Z deseczek sklejoną wielkich rozmiarów literę A, w niej stała dziewczynka z palcem na ustach, przestrzegająca resztę rodzeństwa, stojącego w półkole, (sza w A).

Kończę tę pogawędkę z nadzieją, że te kilka wskazówek przydadzą się czytelnikom naszym. Pierwszy to raz ze skrzynki do listów przefrunęłam do numeru głównego.

Jaskółka.

P. S. Bardzo będę wdzięczną, jeżeli czytelnicy nasi zechcą mi donieść o teatrach, żywych obrazach i szaradach, w których brali udział wraz ze szczegółami o urządzeniu. Będę się dzieliła temi wiadomościami w Wieczorach z innymi czytelnikami, a w ten sposób niejedyn dobry pomysł się rozpowszechni.

## Z cyklu obrazów „Ojciec nasz.”

Józefa Krzesza.

Przed miesiącem publiczność warszawska oglądała siedm pięknych i niezwykle podniosłych treścią obrazów Józefa Krzesza, przedstawiających siedm próśb Modlitwy Pańskiej. W każdym obrazie, zastosowanym do treści próśby, wyobrażonym jest Chrystu Pan, jako Boski nauczyciel tej najpiękniejszej i najświętszej z modlitw, spełniającej ową serdeczną i pokorną prośbę.

W dzisiejszym numerze „Wieczorów” podajemy ostatni obraz „Ale nas zbaw ode złego. Amen.” Widzimy na nim rodzinę rozbitków, unoszonych przez wzburzone fale i w gorącej modlitwie błagających Ojca Niebieskiego o ratunek i ochronę od zguby. Za nimi stoi słodka postać Zbawiciela, który snąc wysłuchał ich modlitwę, bo kieruje tratwę do bezpiecznej przystani.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Historia środków komunikacji, przez Wł. Umińskiego (z ryc.) — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tarzańskiej przez Zofię Urbanowwką (z ryc.) — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Do skowronka, wiersz przez Sewerynę Duchnińską. — Żywe obrazy. — Z cyklu obrazów „Ojciec nasz,” Józefa Krzesza (z ryc.) — Dodatek: Konkurs na kaligrafię. — Matka, wiersz przez Zofię Z. — Bohater Pawełka i Ewci (c. d.) (z ryc.) — Tłusty czwartek przez Maryę Beldowską. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Pojednani, powieść z czasów Napoleona 1-go przez Teresę Jadwigę.



## KONKURS NA KALIGRAFIĘ.

Pragnąc przekonać się, jakie postępy w pisaniu czyni młodsza rzesza czytelników i czytelniczek „Wieczorów Rodzinnych,” ogłaszamy dorocznym zwyczajem pierwszy z naszych konkursów, mianowicie *konkurs na kaligrafię*, w nadziei, że przyczyni się do pilności i starania w tej umiejętności bardzo ważnej i pożytecznej w życiu.

Do konkursu tego powołujemy dziewczynki i chłopców, *nie mających jeszcze skończonych lat jedenastu.*

Wszyscy stawający do konkursu powinni przesłać jedną i tę samą próbę swego pisma, a mianowicie jak najstaranniej przepisany *wierszyk*, poniżej zamieszczony, pod tyt. „*Matka*,” przyczem dzieci, mające rok 11-ty i 10-ty mają przepisać wszystkie cztery strofy, 9-ty i 8-y *pierwszą i ostatnią* strofę, a młodsze tylko ostatnią.

Na nagrody przeznaczają się od 30 do 35 książeczek.

Przy próbie pisma należy podać *imię, nazwisko* (pseudonym) *adres i wiek* (rok 11-ty czy 10-ty a nie lat 11 czy 10).

Termin nadsyłania prób *półtora miesięczny t. j. do 14 kwietnia 1900 r.*

Sprawozdanie ogłosimy w N-rze 17 lub 18-ym. Adres: Warszawa, Mazowiecka 10. Redakcyja „Wieczorów Rodzinnych” i dopisek: *kaligrafia.*

P. S. Mamy nadzieję, że przepisując ten rzewny wierszyk, nauczycie się go z łatwością na pamięć.

## MATKA.

Czy wiecie, dzieci, kto na tym świecie  
Prawdziwym dla was bywa aniołem?  
Kto z jasnym okiem, pogodnym czołem  
Stara się życie stroić wam w kwiecie?  
Kto wam gwiazdeczką promienną świeci,  
Wiecież wy, dzieci?

\* \* \*

Czy wiecie, dzieci, kto nad kołyską  
Czuwał dzionkami, czuwał nocami?  
Kto wam piosenki nucił ze łzami?  
Kto wam jest duszą drogą, a bliską?  
Kto w waszych sercach kochanie nieci?  
Wiecież wy, dzieci?

\* \* \*

Wiecież wy o tem, kto w niebios tonie,  
Po nad gwiazd szlaki i drogi mleczne,  
Zasyła za was modły serdeczne,  
I przed ołtarzem pochyła skronie?  
Czyja to prośba ku Stwórcy leci?  
Wiecież wy, dzieci?

\* \* \*

Wiecież wy o tem, kto waszem słońcem?  
Kto pierwszym mistrzem, nauczycielem?  
Pierwszą radością, pierwszym weselem,  
Szczęściem, dziecinne troski kojącym,  
Światłem przewodniem w życia zamieci?  
To — Matka, dzieci!

Zofia Zacharkiewicz.

DO POW. BOHATER PAWEŁKA I EWCI.



...którego Ryś prowadził za uzdeczkę...



## Bohater Pawełka i Ewci.

(Dalszy ciąg)

Żona młodszego ogrodnika natychmiast ukazała się we drzwiach, a że była to silna kobieta, wzięła Pawełka jak małe dziecko na ręce i zaniósła do wnętrza domku. Tam go położyła na ławce, podłożywszy mu poduszkę pod głowę i zaczęła zwilżać mu wodą twarz i usta, Ewcia tymczasem zaznajomiła się już z Rowerem i przyjacielsko go głąskała.

Jak tylko Pawełek otworzył oczy i uśmiechnął się do Rysia, ten ostatni rzekł poważnie do Joasi:

— To jest mój przyjaciel i musisz się nim dobrze zaopiekować. Wczoraj przybył z miasta, gdzie ciężko chorował. Są to wnuki pani Jakóbowej, do której właśnie dziadek pojechał, aby ich poznać i przekonać się, czy mogą być moimi towarzyszami. Ja wiem, że to są dobre dzieci, bo mi się od razu podobali. Wracając ze spaceru, zabłądzili i chcieli się zapytać o drogę, tymczasem Rower ich tak przestraszył.

Gdy Ryś mówił z wielką powagą, Pawełek słuchał go zachwycony, podziwiając, jak on to rozumiał całą rzecz jasno i zwięźle powiedzieć i sam dopiero teraz zrozumiał dobrze całą swoją przygodę.

— Dobrze, paniczku — rzekła ogrodniczka — ten biedaczek musi najpierw odpocząć, zanim spróbuje wrócić do więzowego domu! Lecz ponieważ pani Jakóbowa byłaby o dzieci niespokojna, więc najlepiej będzie jak posłę naszego Janka z małą dziewczynką do babki, aby ją uwiadomić o tem co zaszło, a chłopczyk odpocząwszy godzinę lub dwie, będzie też w stanie powrócić do domu.

— Masz rację, tak będzie najlepiej — zawołał Ryś uradowany.

Ogrodniczka dała się napić Ewci świeżego mleka, dodawszy do tego spory kawałek chleba z masłem, następnie zawołała z ogrodu swego brata Janka, wyłożyła mu jasno, co ma powiedzieć pani Jakóbowej i posłała go z Ewcią do wioski. Za chwilę Ewcia biegła znów wesoło przez błonie ze swym przewodnikiem, który daleko wolał ten spacer, niż pleć w ogrodzie jeszcze niedojrzałe truskawki.

Tymczasem Pawełek przyszedł już zupełnie do siebie, a że ogrodniczka poszła do kuchni, aby zająć się znów przerwaniem praniem, dwaj chłopcy pozostali sami.

Ryś opowiedział Pawełkowi, że chce zostać koniecznie żołnierzem, że za kilka lat wstąpi do takiej szkoły, gdzie go nauczą tego wszystkiego, co żołnierz umieć powinien, że nauczył Billego przeskakiwać rowy, że ma doskonałą wędkę, którą złapał pstrąga, co ważył aż półtora funta, a jego nauczyciel nigdy jeszcze nie złapał takiej dużej ryby. Ale nad łowienie ryb Ryś przekładał bawić się w żołnierzy, lecz bardzo rzadko miał tę przyjemność a będąc zwykle sam jeden, nie mógł przecież atakować sam siebie, ani wziąć się do niewoli, ani nawet dobrze się mustrować. Teraz, to co innego, Pawełek i Ewcia będą żołnierzami i będzie śliczna zabawa.

Zatrzymał się chwilę i wpatrywał w bladą, szczupłą twarzyczkę Pawełka, który rzekł:

— Rysiu, czy ja mam cię nazywać panem Ryszardem, tak jak babcia cię nazywa?

— Nie. To byłoby niedorzecznie, kiedy się razem mamy bawić. Zresztą, jeżeli jesteś moim przyjacielem, to nie powinieneś mi mówić, panie! A ja pragnę tego, abyś był moim przyjacielem.

— Czy naprawdę tego sobie życzysz? — zawołał Pawełek, drżąc z radości. — A dla czego chcesz Rysiu, abym był twoim przyjacielem?

— Bo widzisz, Pawełku, ja nie mam brata ani siostry, ani nikogo do zabawy, i nieraz okropnie mi smutno z milczącym nauczycielem i głuchym dziadkiem. Dziadek jest bardzo dobry dla mnie, ale nie może być moim towarzyszem. Jakoś posmutniałeś, Pawełku, czy nie chcesz być moim przyjacielem? *(d. c. n.)*

## TŁUSTY CZWARTEK.

Mogłaby też ciocia uwolnić nas dziś od lekcji — mówiła ośmioletnia Brońcia, rzucając z niechęcią książkę na stolik.

— Ja nawet prosiłam o to — dodała starsza nieco Cesia — ale ciocia taka surowa, ani słyszeć o tem nie chciała, powiedziała mi, że będzie czas myśleć o zabawach, jak dorośniemy, a teraz powinniśmy się uczyć.

— To prawda, ale dziś tłusty czwartek, to dzień wyjątkowy.

— Ciocia przyrzekła, że na wieczór zaprosi Anđzię, Walerię i Wicia, ale przedtem trzeba nauczyć się lekcji na jutro. Piękna mi zabawa! wymęcymy się cały dzień nad książką, to się nam i zabawy odechce.

— Mój Boże — westchnęła Brońcia — a tu już dzieciąta, panna Alicya lada chwila nadejdzie, żeby nam tylko nie za wiele zadała na jutro.

Dzwonek w przedpokoju oznajmił przybycie nauczycielki i obie dziewczynki, choć niechętnie, zabrały się do nauki. Po obiedzie ciocia zapytała, czy trudne mają zadania na dzień jutrzejszy?

— Nie bardzo, proszę cioci — odrzekła Cesia.

— Więc mam nadzieję, że prędko odrobicie lekcye, weźcie się tylko żwawo i dzielnie do roboty, i ty, Stefanuku, zabierz się do nauki — mówiła ciocia, zwracając się do siedzącego obok chłopczyka — żebyś był gotów razem z siostrami na przyjęcie gości.

— Ciocia nas doprawdy zamęczy tą nauką — mruknęła Brońcia — po lekcjach nie będziemy miały sił do zabawy.

— Tego się nie obawiam — rzekła ciocia, śmiejąc się.

— A wie ciocia, że Helenka opowiadała nam, że dzisiaj nie będzie się wcale uczyła, bo wieczorem idzie na balik do koleżanki — odezwała się Cesia.

— Może być — odparła ciocia — rodzice Helenki postępują ze swoją córką, jak im się podoba, co do mnie uważam naukę i spełnienie obowiązku za rzecz najwa-



niejszą. Jestem pewna, że będziecie się bawiły nie gorzej od Helenki, choć po odbytych lekcjach.

Wieczorem ciocia kazała zapalić lampę w salonie i zawołała dzieci.

— W czasie lekcji — rzekła — i ja nie próżnowałam, przygotowałam dla was rozmaite przebrania, możecie urządzić maskaradę.

Na stoliku znajdowały się różne ubrania z cienkiej, kolorowej bibułki, duże motyle, kwiaty i t. p.

— Och, ciociu, jakież to ładne! — wołała Cesia.

Przybyli goście podzielali ten zachwyt i postanowiono skorzystać zaraz ze sporządzonych przez ciocię przyborów. Ańdzia i Cesia jako najstarsze z całej gromadki, berowały zabawą.

— Przeberzemy się wszyscy — rzekła Cesia — i poprosimy cioci, żeby nam zagrała do tańca.

Wacio i Stefanek poprzyपालi sobie duże, różnobarwne motyle, Walercia, najmłodsza, cała pokryta różową bibułką, z dwiema dużymi różami na ramionach, była sama do różyczki podobną, inne dziewczynki także się w kwiaty ubrały. Ciocia, uprzedzając życzenia siostrzyczek, siadła do fortepianu i rozpoczęły się ochocze tańce, które trwały dopóki ciocia grać nie przestała.

— Teraz odpocznijcie, albo bawcie się w jakie gry, ja tymczasem zajmę się herbatą — powiedziała odchodząc.

Dzieci zastosowały się do tej rady, a przy dobrej zabawie czas tak szybko minął, że ani się spostrzegły, jak płynęła godzina i ciocia zawołała na herbatę z pączkami, otem bawiono się jeszcze aż do dziesiątej, a gdy goście się rozeszli, ciocia spytała:

— Jakże, Brońciu, czy zabrakło ci sił do zabawy? Czy nauczenie się lekcji przeszkodziło wam w czemkolwiek?

— Gdzież tam, ciociu, bawiliśmy się znakomicie — zawołali jednocześnie Brońcia i Stefanek.

A Cesia dodała:

— Jestem pewną, że i Helenka nie bawiła się lepiej.

— I ja mam to przekonanie — rzekła ciocia — gdyż przyzwyczajona do najmiłszej jest po pracy.

Marya Bełdowska.

## SZARADA

przez Marylę z Włodzimierskiej.

Pierwsze wspan, wiedzą o tem i starzy i młodzi,  
Że nie w takim kierunku jako inni chodzi,  
Zaś drugie ten znać musi, kto w kole tanecznym  
Chce się okazać zręcznym i czuć się bezpiecznym.  
A gdy trzecie do ciebie zawsze jest zwracane,  
To znowu *wszystko* z pięknych widoków jest znane.

## ARYTMOGRYF GWIAZDZISTY.

ulożył Wacław F.

Miejsca liczb w pięciu kwadratach zastąpić odpowiednimi literami tak, ażeby w złożonych w ten sposób wyrazach głoski oznaczone gwiazdkami czytane z góry na dół, utworzyły znane przysłowie.

a					b				
*	21	2	2	21	3	19	12	1	*
21	*	22	16	12	2	19	16	*	1
24	21	*	21	11	18	3	*	22	21
17	21	13	*	21	2	*	16	28	1
28	16	30	30	*	*	26	28	28	21

c					e				
*	4	10	*		*	19	27	13	18
14	*	*	3		14	*	27	21	22
3	*	*	21		3	21	*	8	29
*	21	27	*		3	21	5	*	24

d					e				
21	27	9	26	*	*	19	27	13	18
18	12	24	*	22	14	*	27	21	22
21	1	*	16	24	3	21	*	8	29
22	*	14	16	27	3	21	5	*	24
*	22	16	13	21	6	18	33	7	*

Znaczenie wyrazów:

- Nazwa greckiej litery.  
Oznaczenie miejsca zamieszkania.  
Miasto gub. w Rosji.  
Nowella Sienkiewicza.  
Miasto we Francji nad morzem Śródziemnem.
- Słowo w czasie teraźniejszym 3 osob. l. m.  
Broń ręczna.  
Dzieło muzyczne.  
Roślina z rodz. złożonych.  
Roślina z rodz. liliowatych.
- Dom wiejski.  
Ptak z rodziny grzebiących.  
Miasto n. rzeką Arno.  
Pozdrowienie u dawnych Rzymian.
- Księga z rycinami.  
Król Szwecji i Norwegii.  
Pierwotny mieszkaniec Meksyku.  
Naczynie kuchenne.  
Imię żeńskie.
- Miasto na Litwie.  
Pieniądz w Ameryce.  
Stołeczne miasto w Europie.  
Owad.  
Ptak.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 6-go.

Prozy przerobionej na wiersze:

Nieznacznie z wilgotnego wykradał się mroku  
Świt bez rumieńca, wiodąc dzień bez światła w oku,  
Dawno wszedł dzień, a jeszcze ledwie jest widomy,  
Mgła zawisła nad ziemią, jak strzecha ze słomy,  
Nad ubogą Litwina chatką; w stronie wschodu  
Widać z bielszego nieco na niebie obwodu,  
Że słońce wstało, tędy ma wstąpić na ziemię,  
Lecz idzie niewesoło i po drodze drzemie.

Z Pana Tadeusza A. Mickiewicza.

Szarady: Po — li — py.

Łamigłówki kryształowej:

	C				
	M	e	n		
	K	a	c	y	k
C	e	c	y	l	i
	M	e	l	o	n
	W	i	r		
			a		



## Skrzynka do listów.



Dobre rozwiązania zadania arytmetycznego z Nr. 5 już po zamknięciu listy, ogłoszonej w Nr. poprzednim i przyznania 12-u nagród — nadesłali jeszcze: Kocia Przeźdź., Szarotka, Zosia Kam., Pszczółka z P., Paproć, Marynia Jarosz., Czyteńniczka Wiecz. R. z K., Robinson Lit., Tomaszek Nar. Jod., Helena Koł., Krynia z nad Śl., Kuropatwa z Kr., Hela Rej., Irenka Łun., Słoneczko, Cyganka z nad Jasiołki, Helenka Jagm. i Feliks Weiss. Uwzględniając jednak bardzo wielką odległość niektórych z nich od Warszawy i datę wysłania listu, postanowiliśmy dodatkowo wysłać kalendarzyki: Koci Przeźdź., Hel. Koł., Zosi Kam., Hali Rej., i Kryni.

Dobre rozwiązania arytmogryfu i szarad nadesłali: Jadzia I., Marzycielka, Paproć, Krynia, Gałązka Bzu, Urwis z Pod., Lewkonia i Switezianka, Zosia, Wisienka i Wit. z Płocka; dobre rozwiązania oraz zadania własnego układu: Zdzisław W., Jadwiga Weiss, Słoneczko, Szarotka, Ułan, Czarny Koziołek i Nadwartość.

Żądane książki wysłaliśmy pp. Sumow, Zofii Szorn., Komarowi, Gałązce Bzu, Wandzi Kojd., Eli Cyw., Maryi Doróż., Maryi Bisk., Śnieżycy, Sarence Modrookiej, Stefanowi Spiro, Vandykowi S., Ant. Krah., Waciowi Pawl., Irencie Łun., Czarnemu Koziołkowi i Tadziewi Giż..

Zgrzybiałej Staruszcze. Za miły list dziękujemy, propozycję w zasadzie chętnie przyjmujemy, ale wymaga koniecznie porozumienia się listownego i omówienia. Zatem adres dokładny pożądany.

Wierzmy najzupełniej, że Urwis z Pod. na miano, które sobie przybrał, nie zasługuje. Ze lubi trochę dokazywać, nic niema w tem złego, byleby tylko nie dokuczał innym, nie narażał zdrowia i do nauki nie tracił ochoty. Za mile słówko dziękujemy. „Powrócili” i „Po za gniazdem” są dwie oddzielne książki.

Wand. Kojd.. „Mon Journal” dla młodszych 10 fr. rocznie, dla starszych „Journal de la Jeunesse” 22 fr. rocz. (Hachette 79 Bd. St. Germain). Czy najlepsze — trudno powiedzieć, jest ich kilkanaście. Powieść „Orla Skala” rozgrywa się około 1500 roku w Niemczech połud.

Od Cyganki z nad Jasiołki oczekujemy dłuższego listu, obiecanego Jaskółce.

Przesyłkę otrzymaliśmy od: Julci, Stasia i Frania Doróżyńskich.

Po dłuższem milczeniu list twój, Lubiano, jak zwykle nasunął mi wiele tematów do rozmyślań: Te zagadnienia, które poruszasz, a raczej o które potrącasz jakby skrzydłem motyla, nadają się do dłuższych dyskusji, a nie do krótkich odpowiedzi w Skrzynce do listów; jaka szkoda, że ich nie możemy przeprowadzić! Musisz mieć bardzo lotny umysł i serce wrażliwe, nie mogę wierzyć, abyś miała te wady, które sobie przypisujesz. Skoro jednak widział je w sobie, pierwszy to krok do ich wypełnienia. Pisuj do mnie częściej, w czasie postu będziesz miała może więcej czasu.

Liścik Irenki i Zosi M. zawierający wiele ciekawych szczegółów, dłużej jak zwykle czekał na odpowiedź, ale chociaż korespondencja moja ciągle wzrasta, więcej miejsca w łamach „Wie-

czorów” dostać nie mogę, muszę więcej ściśle trzymać się kolej i porządku i na listy wcześniej odebrane najpierw odpisywać. Winszuję wam nowego braciuszka i wystawiam sobie, jak starsze siostrzyczki pieścić go będą.

Uparta Koza wybrała sobie niezbyt ładny pseudonym. Jeżeli rzeczywiście jesteś upartą i sama się do tego przyznajesz, to powinnaś wszelkich starań dolożyć, by się pozbyć tej brzydkiej wady. Mam nadzieję, że „Testament Dziwaka” zainteresuje cię w dalszym ciągu, bo i w tej powieści występuje panienska. Chociaż zganiłam pseudonym, ale za miłą odezwę dziękuję bardzo i polecam się nadal twój pamięci.

Orzeł Czuby (Zwolennik Wiecz. Rodz.) Dla odróżnienia muszę dodać to określenie, bo mam dwóch korespondentów Orłów Czuby, napisał dla mnie dyalog łaciński, ale niestety po łacinie nie rozumiem i ocenić tej pracy nie mogę. Powieść „Powrócili” możesz dostać jako premium bezpłatnie, za zgłoszeniem się do Redakcyi.

Jeżeli z listu mam sądzić, toś mnie nie przekonała Wiejska Kalino, że do konkursu na wypracowania należeć nie możesz, bo pod względem stylu, zajmującego opisu, list twój nic nie pozostawia do życzenia. Projekt o nowym rodzaju konkursu przedstawię Redakcyi, kto wie czy go ona czasem nie uwzględni. Twój pseudonym bardzo mi się podoba i nie radzę zamieniać go na inny. W logografii są pewne błędy, może się je uda poprawić. Bardzo miły talent posiadasz, niestety podziwiam go i trochę zazdroszczę, ale ołówka umiem użyć tylko do linjowania. Nie wątpię, że gdy pierwsze lody przelamane i pierwszy węzeł sympatii zadzierzgnięty między nami, będę cię mogła wkrótce i do grona przyjaciółeczek zaliczyć, nie daj mi tylko zbyt długo czekać na następny liścik.

Wiochna z pod Opoczna, musiała też dłużej czekać na odpowiedź, ale mam nadzieję, że jako dobra i dawna przyjaciółeczka, wybaczy mi tę mimowolną zwłokę. Aż przykro mi było, że na taki miły i serdeczny liścik nie mogłam zaraz odpisać. Bardzo słusznie i rozsądnie zapatrujesz się na przykrość rozłączania z jedynym „bratkiem” (jak nazywasz swego brata) ale znam cię dosyć dawno, a choć tylko listownie, poznałam, że nie tylko dobrą, ale i bardzo rozsądną jesteś panienką. Bratu twemu za pamięć dziękuję i nawzajem ukłony przesyłam.

Neci. Z opisu twych zajęć całodziennych widzę rzeczywistość, że w dni powszednie nie masz czasu na pisanie listów, szczególnie zaś dłuższych, z żalem więc korespondencję naszą odłożyć trzeba na dni świąteczne i dłuższe wakacje. A bardzo lubię odbierać twe listy, bo są dobrze pisane, obok zwięzłości, zawierają wiele ciekawych szczegółów. Chociaż Wieczory prenumerujesz w kiosku, o brakujące numera możesz się zgłosić wprost do Redakcyi, a dostaniesz je chętnie.

Szałwia, Płacząca Brzózka, Szarotka i Władzio wiedzą dobrze, że gdybym mogła, to chętnie pisałabym do was jak najdłuższe odpowiedzi, ale choć w krótkich słowach winszuję całej waszej gromadce, że nauki idą wam tak świetnie, daj Boże by i do końca roku było równie dobrze. O premium zgłóście się sami do Redakcyi, bo miejscowym prenumeratorom pocztą przesyłać go nie potrzeba. W Krasławiu nie byłam nigdy i wymienionej powiatki nie pisałam.

Liścik napisany ołówkiem drukowanymi literami od 5-io letnich bliźniętek Leonka i Tereni bardzo mnie ucieszył. Niezmiernie miło mi, że takie maleńkie dzieci napisały do mnie; wasz liścik schowałam sobie na pamiątkę.

Cioci Mani za dopisek dziękuję, czekając wiadomości o dalszych postępach kochanej parki.

Pseudonym Słoneczka bardzo mi się podoba i radzę go nadal zatrzymać.

Kryni z nad Śluczy i Marzycielce w poprzednim numerze odpowiedziałam na zapytanie, dawniej otrzymane.

Mundurek i książki od Eli Cywiń. otrzymaliśmy i przeznaczmy według jej życzenia.

Jaskółko